

JAN
KACZKOWSKI
ZYCIE
POD PRĄD

JAN
KACZKOWSKI
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
ZYCIE
POD PRĄD

B I O G R A F I A

Wydawnictwo WAM

Spis treści

„Macie pecha, że go nie poznaliście”	7
Prolog czyli krótka opowieść o długiej pamięci	15
Kilogram i dwadzieścia gram czyli jak było na początku (i końcu)	25
Blisko ołtarza czyli o wierze niewymuszonej	49
Szkoła inności czyli historia z czasów podstawówki	73
Cztery lata samotności czyli historia „przejścia”	101
Życiorysy równoległe czyli historia kleryków niepokornych	125
Obcy czyli o początkach pewnej idei	155
Bliski czyli dzieło życia (część I)	183

„Ojciec”	
czyli opowieść o tęsknocie	209
Przejechany	
czyli zapomniana lekcja księdza Kaczkowskiego	241
Budowniczy	
czyli historia bardzo medialna	259
Sprawczy	
czyli „dzieło życia” (część II)	289
Przejechany (postscriptum)	
czyli ksiądz w hierarchicznej strukturze	327
Na granicy	
czyli historia choroby	349
Podziękowania	399
Przypisy	401
Opisy zdjęć	410

**„Macie pecha,
że go nie poznaliście”**

Między tymi dwiema scenami upłynęło dwadzieścia, może trzydzieści minut – tyle trwa badanie głowy rezonansem magnetycznym. Góra pół godziny leżenia bez ruchu w czymś na kształt klaustrofobicznego, podziemnego korytarza, do którego po naciśnięciu przycisku przez technika wjeżdża wysokie łóżko z pacjentem.

W scenie pierwszej jest pielęgniarka, która rzuca beznamyślnie: „wyniki będą za tydzień”. I technik, który tuż przed wjazdem do wnętrza maszyny napomina: „trzeba wyjąć z kieszeni metalowe przedmioty”.

W drugiej technik już nie napomina, tylko zawiązuje pacjentowi buty. A pielęgniarka, jak gdyby nigdy nic, wręcza mu kopertę z wynikami.

W piątek, 1 czerwca 2012 roku nic przełomowego się właściwie nie zdarzyło. Po prostu medycy w Rumi, do której przyjechał przed południem ksiądz Jan Kaczkowski, zobaczyli na swoich monitorach coś, co w jego mózgu tkwiło od jakiegoś czasu. Coś, czego działanie odczuwał i on sam, i jego współpracownicy.

Być może już w Wigilię Bożego Narodzenia roku poprzedniego. Atmosfera przed opłatkami dla pracowników puckiego hospicjum gęstnieje. Szef – obserwują podwładni – ma zmienne nastroje. Reaguje nerwowo.

„Księdzu chyba coś do głowy strzeliło” – rzuca jedna z pielęgniarek do koleżanki już w roku następnym.

„Ja cię takiego nie znam” – słyszy ksiądz Kaczkowski od współpracownicy, po którejś ze swoich trudnych do wytłumaczenia decyzji.

„Jedź na urlop, bo oszalejesz” – mówią inni.

Ci będący najbliżej mają swoje teorie. Jest przemęczony i zestresowany. Wiosna 2012 roku: za nim pracowity czas, ale też zdarzenie traumatyczne. Pod koniec zimy była w Pucku komisja z gdańskiej kurii. Trzech księży wysłanych przez arcybiskupa Sławoja Leszka Głódzia przesłuchiwało młodego duchownego, by sprawdzić, czy jego nowa inicjatywa – zakładana z przyjacielelem szkoła katolicka – nie jest kościelną samowolką.

Sam też widzi, że coś jest z nim nie tak.

W kwietniu dopada go ostra grypa. Odczuwa coraz większe zmęczenie i bardziej niż zwykle dotkliwy niedowład lewej strony ciała. Drętwieją mu noga i ręka. Na trasie z Trójmiasta do Torunia, którą przemierza jako wykładowca Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, zatrzymują go policjanci. Sprawdzają, czy nie jest pijany: jego samochód jedzie „wężykiem”.

Maj 2012 roku, znów podróż. I znów „ściągnięcie” na lewą stronę. Podczas parkowania uderza w barierkę.

Końcówka miesiąca, ksiądz Jan Kaczkowski zgłasza się do neurologa. Dostaje skierowanie na rezonans magnetyczny. Z adnotacją: „pilne”.

31 maja Alicja Makowska, wtedy hospicyjna pielęgniarka, pobiera szefowi krew. – Wiedziałam tylko, że chodzi o kreatyninę, więc zapytałam: „Po co to księdzu?”. Odpowiedział, że ma badanie rezonansem. „Wie pani, mam kłopoty ze spaniem. No i mam taką dziwną, drętwą mordę”, powiedział, klepiąc się, jak to on, po twarzy – wspomina Makowska.

Następny poranek zapamiętała Katarzyna Parchem, wówczas koordynatorka hospicyjnego wolontariatu: – Przyszedł do biura, poprosił o śniadanie. Zesłałam na dół po wyniki jego badania krwi. Wręczając mi karteczkę, pani Ala Makowska powiedziała: „Przekaż księdzu, żeby tu sobie nie wymyślał jakichś chorób, bo wszystko jest w porządku”. Wyjeżdżając na badania, zaszedł jeszcze do mojego gabinetu, by poprosić o zamówienie płyty. Chodziło o Luxtorpedę, której utwór zatytułowany *Hymn* leciał akurat u mnie w gabinecie.

*Kiedy duch i serce jest silniejsze niż ciało
To ból wśród nieszczęść uczynił cię skalą.
Tylu już przegrało, zabiła ich słabość,
Ty wśród nich wyciągasz dłoń po wygraną.
W każdym moim zwycięstwie jest pot i krew poświęceń.
Chcę ubrudzić ręce, by wybudować szczęście,
Ubrudzić ręce, by wybudować szczęście.*

*Na ziemię powaleni, wstajemy, nie giniemy –
Ta krew już raz przelana, nie wyschnie wciąż i płynie!*

*Nie czas wątpić, gdy się wali
Silniejsza ma być wiara,
A przeciwności z bara rozwalać jak taran.
Trza spalać granice starań i przekraczać słabości ciała...*

– Potem zaszedł do mnie ponownie. Poprosił, bym zamówiła jeszcze płytę Kamila Bednarka. Wsiadł w samochód. Pojechał na badania.

– Macie wielkiego pecha, że poznaliście Jana dopiero w ciężkiej chorobie – usłyszałem od Filipa Kaczkowskiego, gdy spotkaliśmy się w pierwszej połowie 2017 roku w jego mieszkaniu w Sopocie. W słowach brata nieżyjącego już duchownego nie było pretensji, że wielu z nas, dziennikarzy, zaczęło prosić księdza Kaczkowskiego o wywiady, gdy już otrzymał diagnozę: nieuleczalny glejak IV stopnia. Była raczej konstatacja jakiejś straconej szansy na poznanie ciekawego człowieka.

Z księdzem Janem Kaczkowskim spotkaliśmy się jesienią 2012 roku. Pojechałem do Pucka, by zbierać materiał do reportażu o głośnej tragedii w miejscowej rodzinie zastępczej. „Tam jest fantastyczny ksiądz, musisz go przy okazji odwiedzić” – powiedział mi przez telefon Michał Okoński, szef działu krajowego i wicenaczelnym „Tygodnika Powszechnego”, gdy byłem już na miejscu. Nie wiedział, że „fantastyczny ksiądz” jest od kilku miesięcy nieuleczalnie chory.

Był koniec października, chłodne popołudnie. Staliśmy z księdzem Krzysztofem Stachowskim, proboszczem parafii Zwiastowania Pana w Żarnowcu, na terenie starej, otoczonej ceglany murem nekropolii. Chodziliśmy między rzędami dziecięcych grobów, przydeptując spadające z dużych lip żółte liście, a on opowiadał upiorną historię dwójki dzieci zabitych w rodzinie zastępczej (ksiądz Stachowski prowadził ich pogrzeb). Gdy skończyliśmy rozmawiać, podrzucił mnie kawałek samochodem. To podczas tej krótkiej podróży żarnowiecki proboszcz – usłyszawszy, że zamierzam odwiedzić też księdza Kaczkowskiego – musiał rzucić coś w rodzaju: „Założył hospicjum, a teraz sam zmagają się ze śmiertelną chorobą”.

Później było już spotkanie z księdzem Janem, w mieszkaniu jego rodziców w Sopocie. I nagranie rozmowy – w zasadzie na inny temat niż ta,

którą zdążyłem wstępnie zaplanować. Owszem, duchowny mówił o hospicjum i pracy z trudną młodzieżą w Pucku. Ale przede wszystkim opowiadał o pierwszych miesiącach zmagania z chorobą. Rozmowa, która ukazała się w listopadzie w „Tygodniku Powszechnym”, dała początek ponad trzyletniej znajomości. Dla mnie bardzo ważnej, dla niego pewnie jednej z wielu, jakie zawarł w tamtym czasie z dziennikarzami.

Niejedna z tych znajomości zaczęła się podobnie jak moja – od jego choroby. Większość wywiadów czy reportaży dotyczyła czasu choroby. On sam opowiadał o sobie z perspektywy człowieka chorego. Chorego – dodajmy – na nieuleczalny nowotwór, który musiał radykalnie zmienić jego nastawienie do życia, a także – przynajmniej okresowo, gdy przyjmował silne sterydy i leki psychotropowe – jego psychikę.

Nie, Polacy nie poznali „innego księdza Kaczkowskiego”. To był ten sam człowiek co wcześniej. Ale po wyjeździe z maszyny rezonansu magnetycznego w okolicach piątkowego południa 1 czerwca 2012 roku jego życie pod wieloma względami musiało się zmienić.

Ta biografia powstała z ciekawości. Z ciekawości i z pytań, jakie zadawałem sobie po październiku 2012 roku, a jeszcze intensywniej po jego śmierci w marcu roku 2016. Jaki był Jan Kaczkowski przed chorobą?

W wywiadach i książkach mówił trochę o swoim dzieciństwie. Byłem ciekaw, jak wpłynęło ono na jego dalszą drogę. Siłę i wsparcie – o tym też opowiadał – dostał od rodziny. Ale jego życie to także historia zmagania z niepełnosprawnością, odtrąceniem, osobnością.

Wiele miejsca w swoich opowieściach poświęcił „synkom” – uczniom, którzy przy jego, młodego księdza, pomocy zmienili swoje życie. Zastanawiałem się, jak te relacje zmieniły jego życie. I jakie tęsknoty za nimi stały.

Mówił, że został „sklepany przez Kościół”. Ale nie znaleźliśmy kulisów tego „sklepania” i źródeł – tak trzeba powiedzieć – nieprzystawalności Jana Kaczkowskiego do gdańskiego Kościoła z czasów, gdy rządy w archidiecezji objął arcybiskup Sławoj Leszek Głódź.

Mówił o przytulaniu, bliskości, ale już bardzo niewiele o własnych – często niełatwych – przyjaźniach.

Opowiadał, a właściwie pokazywał przed kamerami swoją dzielność w chorobie. Ale nie mogliśmy przecież wiedzieć, jak się z tą chorobą szarpał, gdy kamery były wyłączane.

Chciałem dociec, skąd się wziął – emocjonalnie, duchowo, intelektualnie – pucky duchowny, o którym pod koniec seminarium jeden z trójmiejskich proboszczów mówił, że będzie ośmieszeniem dla kapłaństwa, a nieco ponad dekadę później ksiądz Adam Boniecki – że ratuje tego kapłaństwa honor.

Na moje pytania odpowiedziało sto kilkadziesiąt osób, znających Jana Kaczkowskiego na różnych etapach życia. Niektórych – w większości nieznanymi z dotychczasowych publikacji na jego temat – uczyniłem współbohaterami poszczególnych rozdziałów. Część z nich mówi o zdarzeniach, o których on nie opowiadał. Inni na znane już fakty rzucają nowe światło.

Krótkie życie księdza Jana Kaczkowskiego było jeszcze barwniejsze, niż sądziłem. Bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem, gdy jesienią 2016 roku zabierałem się za pracę nad jego biografią. Barwniejsze i bardziej skomplikowane, czyli ciekawsze.





PROLOG

czyli krótka opowieść o długiej pamięci

– Mam takie dziwne uczucie, że on jest. Podczas choroby dużo wyjeżdżał. Gdy był w Australii czy w Stanach Zjednoczonych, znikał przecież na całe tygodnie. I teraz czujemy – nie tylko ja, bo potwierdza to też Filip, mój starszy syn – że on wciąż jest, tylko bardzo zajęty... – powiedział mi na początku 2017 roku, w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego” Józef Kaczkowski, tata Jana, dla przyjaciół „Ziuk”.

– Przychodzi panu czasem przez myśl: „Może się jeszcze spotkamy”? – zapytałem go wtedy, bo ciekawiło mnie, czy on – opisywany przez syna jako ateista, a co najmniej wątpiący – ma w swoim podejściu do wiary jakieś wahania, tak jak miewają je wierzący.

Odpowiedział, ale bodaj pierwszy raz – a byliśmy już po kilkunastu godzinach rozmów – zobaczyłem niezdecydowanie na jego twarzy: – Myślałem o tym, ale raczej nie, chyba się jednak nie spotkamy... Albo inaczej: musimy się spotykać teraz, póki moja czaszka jest jeszcze w takim stanie i póki on pod tą moją czaszką jest. Chyba wszystko, co robię teraz, jest właśnie po to, żebyśmy w jakiś sposób byli obok siebie. A później obaj – przez jakiś czas – będziemy się spotykać w pamięci dzieci, wnuków, może prawnuków.

Z Józefem Kaczkowskim rozmawialiśmy właśnie o pamięci. Zapytałem, czym ona jest dla niego, niewierzącego:

– Po śmierci bliskiej osoby jest wszystkim?

– Jeśli o niego chodzi, chyba tak – odpowiedział.

– Przymierza się pan do spisywania – dla potomnych – historii rodziny.

– Bo chcę tym moim gamoniom, dzieciom, wnukom, zostawić wiedzę, kim byli przedstawiciele poprzednich pokoleń. Zebrałem już sporo informacji, będę jeszcze szperał.

– Jak daleko się pan doszperał?

– Dwieście lat wstecz. Mój prapradziadek i imiennik Józef urodził się właśnie dwieście lat przed moimi wnukami. Teraz, kiedy wiem mniej więcej, kim był i co robił, stał mi się bliski. Wiem, że brał udział w powstaniu listopadowym, ale niestety po niewłaściwej stronie, to znaczy był oficerem carskiej

armii. (*śmiech*) Nie mam zielonego pojęcia, czy był sympatyczny, czy wręcz przeciwnie, ale wiem, że między innymi dzięki niemu istniejemy. Historia rodzinna to zawsze historia różnych ludzi. Nie ma się co wstydzić, jeśli były wśród nich jakieś paskudasy, ani specjalnie chwalić, jak byli ludzie dobrzy. Byli, więc zasługują na to, by o nich mówić!

Pamięć rodziny Kaczkowskich, Heleny, Józefa oraz trójki ich dzieci: Jana, Magdaleny i Filipa, można podzielić na dwie opowieści.



Wnętrze świątyni: półmrok, kamienne, częściowo nadpalone ściany, tak samo kamienny ołtarz. Przed nim słusznej postury ksiądz w sutannie. Nałożył ją na gołe ciało, ale pewnie niewiele to pomaga: jest sierpień, na zewnątrz piekący upał, może tylko grube mury dają jakieś ukojenie. Nikt zresztą pewnie nie myśli teraz o pogodzie. Atmosfera jest z jakiegoś powodu podniosła: kiedy kapłan – młody, choć poruszający się z trudem – zaczyna odprawiać mszę, kilka siedzących w ławkach kobiet wybucha płaczem.

– Wszystko to było poruszające: on ledwo chodzący, choć uparł się, by odprawić tę mszę, płaczące baby i osmolone mury tworzyły atmosferę, którą pamiętam do dziś. Mimo że przecież moje związki z Kościołem ograniczały się do faktu, że miałem syna księdza – opowiada Józef Kaczkowski.

Co jeszcze zapamiętał? Że świątynię – w zasadzie nieczynną od lat – otworzyła im starsza kobieta, prawdopodobnie za pozwoleniem księdza, który opiekuje się pobliską parafią; że w środku, poza nim i jego synem, mogło być góra sześć osób, chyba wyłącznie kobiet; że nie było naczyń liturgicznych, a uczestnicy przynieśli normalny, łamany później chleb i własne wino.

Czas? Sierpień 2015 roku, ksiądz Jan Kaczkowski jest nadal w niezłej – jak na etap choroby – formie. Miejsce? Wraz z ojcem kończą właśnie jedną z licznych wspólnych podróży: byli na Słowacji, w Mołdawii, Rumunii i na Węgrzech, by w drodze powrotnej zahaczyć o – odnalezioną niemalże cudem – wieś Buszcze. Położona na Ukrainie kilkadziesiąt kilometrów od Tarnopola, w międzywojniu leżała w granicach należącego do II Rzeczypospolitej powiatu brzeżańskiego (województwo tarnopolskie).

Kaczkowscy – jeśli wierzyć pamięci seniora rodziny – pojawiają się w Buszcu mniej więcej miesiąc po ważnym dla tego miejsca wydarzeniu, odnotowanym

na stronie internetowej Ministerstwa Spraw Zagranicznych w 2015 roku: „W surowych ścianach kościoła rzymskokatolickiej parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Buszcu (obwód tarnopolski, rejon brzeżański) 26 lipca odbyła się uroczystość poświęcenia kopii obrazu Matki Boskiej Buszczeckiej. Oryginał obrazu został wywieziony w 1945 roku do Raławic Śląskich, gdzie znajduje się do chwili obecnej. W uroczystości udział wzięło wielu Polaków z pobliskich Brzeżan, wielu gości ze Lwowa i Łucka, w tym przedstawiciele Konsulatu Generalnego RP w Łucku. To ważne wydarzenie dla katolików mieszkających na Ukrainie, gdyż jeszcze przed wojną kościół ten był jednym z najstarszych sanktuariów maryjnych archidiecezji lwowskiej” – czytamy.

Nieco dalej dowiedzieć się można więcej o historii miejsca: kościół budowano w latach 1620–44, a przygotowujący się do bitwy z Kozakami i Tatarami król Jan III Sobieski miał się modlić pod wspomnianym obrazem „o zwycięstwo nad wrogami Polski”. Świątynia, zdobyta później i zniszczona przez Tatarów, została odbudowana w XVIII wieku, zaś w międzywojniu była wykorzystywana jako magazyn, co doprowadziło do jej degradacji. Wreszcie w kwietniu 1944 roku wybuchł tu pożar.

W poświęconej kościołowi informacji MSZ nie znajdziemy wzmianki o innym historycznym kontekście. W 1944 roku w Buszcu – gdzie u progu II wojny światowej więcej niż połowę spośród ponad tysiąca mieszkańców stanowili ukraińscy grekokatolicy, nieco mniej niż połowę Polacy-katolicy rzymscy, a oprócz tego mieszkało też czterdziestu Żydów – doszło do mordu na Polakach dokonanego przez żołnierzy UPA.

Skąd jednak obecność Jana i Józefa Kaczkowskich w tym miejscu? Skąd msza, podniosła atmosfera?

– Ważnych było dla niego kilka rzeczy – wspomina ojciec Jana. – Po pierwsze, sama liturgia w tych surowych, połowych wręcz warunkach kościoła, który wiele przeszedł. Po drugie, trudna, również polska historia tego miejsca, której symbolem były osmolone ściany. Po trzecie – i najważniejsze – w Buszcu przyszedł na świat, prawdopodobnie w rodzinie grekokatolickiej, jego pradziadek, a dziadek mojej żony, Heleny.

Schyłkowy czas zaboru austriackiego: kilkunastoletni Jan Kryżanowski (później Krzyżanowski, urodzony jeszcze pod koniec XIX wieku) wstępuje do armii cesarskiej. Trafia pod Miechów, gdzie zastaje go koniec I wojny światowej, podczas gdy jego dwaj bracia – Michał oraz Dymitr – pozostaną na wschodzie.

Tu żeni się, jednak jego żona umiera wkrótce na gruźlicę. Druga, Agnieszka (z domu Pycia), rodzi dwójkę dzieci. W 1923 roku na świat przychodzi ich córka Wincetyna, wiele lat później babcia Jana Kaczkowskiego. Wincetyna zapamięta klimat zadry w rodzinie: ojciec nie będzie – poza jedną wizytą w latach trzydziestych – utrzymywał kontaktów z braćmi, z których jeden w następnej dekadzie miał ponoć związki z ukraińskimi nacjonalistami.

Krzyżanowscy mieszkają w Kamieńczycach nieopodal Miechowa – tu Wincetyna spędza dzieciństwo i młodość. Tu również zastaje ją wybuch wojny. Za mąż wychodzi jako osiemnastolatka, w 1941 roku. W roku kolejnym rodzi się jej pierwsza córka, Marysia, a po kolejnych dwóch latach Helenka, która trzydzieści trzy lata później zostanie matką Jasia, trzeciego swojego dziecka.

Dwa lata po wojnie Wincetyna zostaje młodą wdową: – Mąż na skutek działania w partyzantce zachorował na zapalenie opłucnej, o penicylinie dopiero zaczęło być głośno, i to w USA – wspomni dziewięćdziesięcioletnia babcia Jana Kaczkowskiego, po mężu Niedziela. – Miałam trzy lata dobrego małżeństwa, a potem nadszedł dla mnie, młodej dziewczyny i matki, trudny okres...

Wróćmy do sierpnia 2015 roku. Jan i Józef odnajdują we wsi przodków – wnuki braci pradziadka Jana. Chłoną ślady skomplikowanej historii miejsca. Rozmawiają o niej.

– Można powiedzieć, że moja żona, a więc i w jakimś stopniu Jan, pochodzą z mieszanej ukraińsko-polskiej rodziny, gdzie na ogół mężczyźni byli grekokatolikami, a wiele kobiet to Polki-rzymskie katoliczki – mówi mi w 2017 roku Józef Kaczkowski.



Historia druga dzieje się tysiąc kilometrów dalej; na Litwie, po dwóch stronach Niemna. – Moje korzenie to inteligencja postszlachecka, która dużo wcześniej pozbyła się obciążenia ziemiańskiego. Pradziadek ze strony mamy, Feliks Pohoski, powstaniec styczniowy, został zesłany na Syberię i nie wrócił już do swojego majątku, który był zlokalizowany gdzieś między Poniewieżem a Wiłkomierzem. Rodzina ojca też żyła na Litwie, tyle że wówczas jeszcze na obszarze Królestwa Polskiego, a więc po drugiej stronie Niemna, czyli granicy Cesarstwa Rosyjskiego – opowiada Kaczkowski-senior.

Dwie ważne dla nas daty to lata 1904 i 1907, kiedy na świat przychodzi – odpowiednio – Kazimierz Kaczkowski i Wanda Pohoska. On ukończy studium nauczycielskie, a później utworzony pod koniec lat dwudziestych XX stulecia w Warszawie Centralny Instytut Wychowania Fizycznego. Ona: biologię na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie.

Poznają się w następnej dekadzie w Białymstoku, gdzie pracują jako nauczyciele. Już jako para osiadają w Łomży, w pobliżu której mieszka ją jej rodzice. 2 kwietnia 1939 roku, a więc niemal dokładnie pięć miesięcy przed wybuchem II wojny światowej, przychodzi na świat Józef. Poród ma miejsce w Warszawie: Wanda Kaczkowska w Łomży rodzić nie chce, a w stolicy ma znajomych. – Byłem jedynym, późnym dzieckiem moich rodziców, w czasie okupacji nie zdążyli już nic „zmaistrować” – opowiada Józef Kaczkowski.

Wojna zastaje ich w Łomży. W jej przededniu, 31 sierpnia, ma jeszcze miejsce chrzest Józefa. Później następuje krótki okres okupacji hitlerowskiej, a 29 września 1939 roku – po tym, jak Niemcy, w myśl dwustronnych ustaleń z ZSRR, wycofują się za linię demarkacyjną wzdłuż Narwi i Pisy – do miasta wchodzi Sowieci. W ciągu najbliższych niemal dwóch lat, w ramach kilku wywózek, na wschód trafi kilka tysięcy mieszkańców Łomży i okolic. To dla dziejów rodziny Kaczkowskich o tyle ważne, że represje dotyczą głównie inteligencję.

– Tych początków, rzecz jasna, pamiętać nie mogę, ale wiem od mamy, że rodzice uciekli na jakiś czas na wieś, potem wrócili i – za co im jestem wdzięczny – podjęli jakiś rodzaj kolaboracji z sowieckim reżymem: znów pracowali w szkole, dochodząc wraz z grupą innych nauczycieli do wniosku, że nie można zostawiać młodzieży. Dzięki temu chyba wszyscy przeżyliśmy.

Niemcy wchodzi ponownie do Łomży 22 czerwca 1941 roku. Miasto staje się częścią terenów włączonych do Rzeszy. Tę część historii Józef Kaczkowski zna jeszcze z opowieści, głównie własnej mamy: – Moja ukochana ciocia, jej siostra, mieszkała w Gdyni i została podczas okupacji ściągnięta przez wujka do Warszawy – opowiada. – W ten sposób i my się tam dostaliśmy: wuj podjechał pod granicę i zorganizował przerzut.

Kaczkowscy przebywają więc przez jakiś czas w Warszawie, a resztę okupacji – w związku z problemami zdrowotnymi Józefa – spędzą w znajdującym się

na obrzeżach miasta i mającym lepszy klimat Aninie. – Oglądam sobie teraz zdjęcia z tamtego okresu: rok 1943, słońce, park, jakieś kuzynki i ja, tłusty gówniarz – kontynuuje Kaczkowski. – Obrazki niemal sielskie. Choć dziś myślę o tym zupełnie inaczej. Przypominam sobie na przykład, jak jesteśmy akurat w Warszawie, a w powietrzu latają jakieś ciemne płatki. Na moje pytanie, co to jest, mama odpowiedziała, że „palą papiery”, ale prawdopodobnie płonęło getto... Tak czy inaczej, z okresu wojny nie zapamiętałem atmosfery głodu, grozy czy strachu.

To w tamtym czasie ma jednak miejsce zdarzenie, które zaważy na życiu kilkuletniego Józefa. W 1944 roku do Warszawy zbliża się front, rodzina musi opuścić Anin. – Pamiętam, że nas rozdzielono: tata trafił do Lasu [część Warszawy, podobnie jak Anin należąca administracyjnie do dzielnicy Wawer – dopisek PW], my na Pragę – wspomina Józef Kaczkowski. – Raz doczłapałiśmy się nawet jakoś do tego Lasu, i wówczas widziałem ojca po raz ostatni.

Ślad po Kazimierzu Kaczkowskim ginie, zostają hipotezy. – Najpierw był w Pruszkowie, skąd szły transporty do obozu w Stutthofie. Trafił prawdopodobnie do filii w Policach, bo z tamtych okolic przyszła kartka. Że jest już zima i że przydałyby mu się jakieś ciepłe rzeczy...

Koniec wojny zastaje ich ponownie w Aninie, a wujostwo osiada w Olsztynie. – Ściągnęli tam naszą trójkę: mamę, babcię i mnie – opowiada Józef Kaczkowski. – My już tam zostaliśmy, oni udali się wkrótce do Sopotu.

Odtąd życie Józefa Kaczkowskiego toczy się w dwóch miejscach: w Olsztynie właśnie, gdzie jego matka pracuje jako nauczycielka, a on od 1946 roku chodzi do szkoły, a także na Wybrzeżu, gdzie spędza wakacje.

Do szkoły chodzi w czasach stalinizmu, a pierwszy świadomie zarejestrowany polityczny przełom – euforię roku 1956 – przeżywa już po rozpoczęciu studiów na Politechnice Gdańskiej. Na początku lat sześćdziesiątych bierze urlop dziekański, by – dzięki stryjowi, który trafił tam jako żołnierz Andersa – wyjechać do Anglii. Jeszcze w tym samym roku przebywający w Paryżu kolega namawia go, by przyjechał nad Sekwanę.

Po studiach przez jakiś czas pracuje jako inżynier w Polsce. Uczy się francuskiego. Pod koniec lat sześćdziesiątych wyjeżdża ponownie – tym razem w ramach inżynierskiego kontraktu – do Paryża.

Ten rozdział jego historii kończy się na pewnej imprezie w roku 1969 w paryskim mieszkaniu znajomego inżyniera z Krakowa, Andrzeja

Grychowskiego. Część jej uczestników trafia tu na zaproszenie gospodarza, inni – jak choćby pewna dwudziestopięcioletnia absolwentka romanistyki z Krakowa – całkiem przypadkowo.



Kwiecień 2017, rok po śmierci księdza Jana Kaczkowskiego. Chłodne jeszcze, choć słoneczne niedzielne popołudnie: idziemy z Magdaleną Sekułą – starszą o dwa lata siostrą Jana – i Agnieszką Jung, jej koleżanką ze szkoły, na spacer śladami ich dzieciństwa.

Zaczynamy przed kościołem świętego Jerzego w Sopocie, położonym u wylotu deptaka na Monte Cassino – minutę spacerem od mieszkania Heleny i Józefa Kaczkowskich, w którym Jan spędził ostatnie lata życia. Zahačzamy o obrzeża centrum, by willowymi uliczkami dotrzeć do położonej na północy dzielnicy Kamienny Potok. Mijamy stary, pamiętający jeszcze początek XX wieku, ceglany budynek nieistniejącej już Szkoły Podstawowej nr 3, do której chodził Jan, i przechodzimy alejkami między garażami, jakimi musiał codziennie wracać po lekcjach. Dochodzimy do dziesięciopiętrowego bloku i stajemy przed nim na grzbiecie kilkumetrowej górkii.

Niewielkie wzniesienie na skraju ulicy Kraszewskiego w Sopocie może być miejscem-symbolem całej tej – naznaczonej przemianami – historii.

Przed nami blok, na najwyższym piętrze balkon i okna dawnego mieszkania Kaczkowskich: Magda i Agnieszka wspominają kolejne sceny z pokoi, holu, kuchni, piaskownicy, spomiędzy bloków...

Tuż za nami płot, za płotem groby. To sopocki cmentarz komunalny, na którym od roku spoczywa ksiądz Jan.

Droga ze szczytu górkii do rodzinnego grobowca zajmie nam może dwie minuty. Szybki przegląd nazwisk, pokoleń i związanych z nimi epok. Mignie mi nazwisko dziadków Józefa Kaczkowskiego (Pohoskich – tych od strony mamy), jego sopockiego wujostwa (Leon Kozakowski i Emilia z Pohoskich Kozakowska), rodziców (Wanda z Pohoskich Kaczkowska, Kazimierz Kaczkowski).

I napis, który jest tutaj od ledwie roku: „Ks. Jan Kanty Kaczkowski, 1977–2016. Doktor teologii, bioetyk, twórca hospicjum w Pucku, ukochany wnuk, syn i brat”.





KILOGRAM
I DWADZIEŚCIA GRAM

czyli jak było na początku (i końcu)



*Urodził się, nie krzyknął...
Po chwili zaczął oddychać.*

HELENA KACZKOWSKA

Z mroku kościoła wyłania się podświetlana, biała postać – wyrzeźbiony ponad pół wieku temu święty Antoni wznosi do góry palec. Dzięki wiązkom odbitego światła widać też, choć niewyraźnie, dwie klęczące przed ołtarzem postaci. Księdza w sutannie i – jakieś półtora metra na lewo – kobiety. On ma ręce złożone do modlitwy. Ona zakrywa twarz prawą dłonią. Między nimi, na wysokości głów, widać niewielki obraz Matki Boskiej. Tyle fotografia.

Jej autor zapamiętał więcej. Na przykład, że chwilę wcześniej szli deptakiem, a ona się śmiała i droczyła, że dalej pójda osobno (wszystko przez jego – kupiony kiedyś w Rzymie – kapelusz z absurdalnie wielkim rondem). Że prawdopodobnie nie mieli w planach kościoła – on w którymś momencie rzucił do niej coś w rodzaju: „Wejdźmy do środka”. I że kiedy byli już wewnątrz, skierowali się do nawy bocznej, tej z figurą świętego. A on znowu coś do niej powiedział. Coś, co wywołało jej poruszenie...

– Robiłem Jankowi zdjęcia w wielu prywatnych sytuacjach – opowiada Damian Kramski, fotoreporter. – Ale wtedy poczułem, że jestem na granicy. To moment: robisz zdjęcie i od razu się orientujesz, że nawet cichy dźwięk migawki jest zbyt głośny. Wyszedłem.

Miejsce, z którego pochodzi zdjęcie, to znajdujący się na sopockiej promenadzie przy Monte Cassino kościół świętego Jerzego. Czas: poniedziałkowy poranek, 9 lipca 2012 roku – sądząc po ubiorze kobiety, chłodny jak na tę porę roku. Klęczące postaci to ksiądz Jan Kaczkowski, wówczas trzydziestopięcioletek (za dziesięć dni będzie obchodził urodziny) i Helena Kaczkowska, jego mama. On sześć tygodni wcześniej dostał diagnozę nieuleczalnego glejaka mózgu IV stopnia, a przed pięcioma tygodniami przeszedł pierwszą operację mózgu.

Lipiec 2012 roku – za kilka miesięcy za sprawą zainteresowania mediów ksiądz z fotografii stanie się znany w całej Polsce. Przez następne czterdzieści miesięcy zostanie współautorem kilku książek, wygłosi ponad setkę homilii, udzieli mnóstwa wywiadów. Będzie opowiadał o chorobie, nierzadko wchodząc głęboko w przeżycia swoje, ale też swoich bliskich. Najwięcej

będzie mówił o tacie, nieco mniej o rodzeństwie: starszej o dwa lata Magdzie i starszym o sześć lat Filipie.

Historia medialnej hiperaktywności księdza Kaczkowskiego będzie jednak równocześnie historią milczenia jego mamy. Wypowiadać się publicznie, a po marcu 2016 roku wspominać syna będzie ojciec – Helena Kaczkowska przez cały okres choroby nie powie w mediach ani słowa. Wyjątek to – udzielony wspólnie z mężem – wywiad na potrzeby wydanej już po śmierci syna książki Katarzyny Jabłońskiej i księdza Jana Kaczkowskiego¹.

Duchowny w pierwszej książce współtworzonej z Jabłońską powie: „Mama mówi, że kiedy umrę, ona rozpadnie się na kawałki”. Będzie też wspominał o wspólnych, odprawianych prowizorycznie mszach: tylko dla nich dwojga. Na przykład o momencie, gdy wypowiadając zdanie „Spowiadam się Bogu Wszechmogącemu” dodaje szeptem: „I Tobie, mamo”. „Wiesz, kiedy mszę świętą odprawia syn, który ma raka mózgu, i słów tych słucha jego matka – i oboje wiemy, że za chwilę ten rak mnie zabierze – to trudno się nie wzruszać” – zwierzy się, przywołując również czytany wspólnie z mamą fragment *Hymnu o miłości*. „Nie wiem, czy nasza miłość z mamą wszystko przetrzyma...” – powie na koniec tego fragmentu².

Ponad rok później, w wywiadzie rzece zawierającym między innymi wątki autobiograficzne, opowie nieco więcej Piotrowi Żyłce o tym, jak zapamiętał mamę z czasów swojego dzieciństwa. Ale też zaznaczy: mama nie życzy sobie, by o niej mówić. Poza tą jedną informacją: że „straszenie nas kocha”³.

Dwa miesiące przed śmiercią nagra cykl vlogów „Droga krzyżowa z księdzem Janem Kaczkowskim”. W odcinku poświęconym Stacji IV („Jezus spotyka swoją matkę”), wyniszczony już wyraźnie przez chorobę, powie między innymi: „Czy Chrystus spotkał matkę tak z bliska, *face to face*? Nie wiem, ja wolę to sobie wyobrazić nie tak oczywiście. (...) Ona być może zza węgła śledzi swojego Syna, cierpiąca, i ich spojrzenia, pełne miłości i pełne bólu, gdzieś się spotykają. (...) To jest chyba najbardziej dojmujące doświadczenie: dziecko umiera, dziecko katowane, mimo że dorosłe, a może zwłaszcza dorosłe. «A ja nic nie mogę zrobić».

(...) Czy można powiedzieć jakieś pocieszenie rodzicom, kiedy tracą własne dzieci? Uważam, że nie, bo jestem w takiej sytuacji. Nie jestem w stanie przygotować moich rodziców na moją własną śmierć. Chociaż próbowałem. Ale uważam, że popełniłem błąd, bo każdy musi w to wchodzić we

własnym rytmie. Ja próbowałem za nich odrobić pewne etapy, co się nie udało. Teraz odpuściłem i pozwalam, żeby każdy z nas przeżywał to wszystko w swoim tempie. Dziwię się czasem, kiedy – że tak powiem – «zanęcam» temat, że mogę umrzeć, a moja mama kompletnie go wypiera. Ma do tego prawo. Mówi: «A ja na ciebie patrzę i w to nie wierzę». Ma prawo w to nie wierzyć, ale fakty są inne.

Biedna, nieszczęsna moja mamó i biedne nieszczęsne mamy moich kolegów czy koleżanek – młodych współchorych! Jak wam pomóc? Czasem mówicie, że jak wasze dzieci umrą, to chciałybyście się rozpaść na kawałki. Doświadczona matka, które straciły dzieci, pokiwały głową z takim uśmiechem, jakby chciały powiedzieć, że więcej wiedzą, i powiedziały: «Chciałyby»...

Nie oglądam zdjęć z dzieciństwa

Najpierw będzie na drugim planie: witająca w progu, ciepła, miła, choć równocześnie zdystansowana. I szykująca kolejne posiłki: przystawkę, danie główne, deser. Wszystko w nienagannym stylu, szykownie podane. Na przełomie 2016 i 2017 roku – to wtedy zaczynamy spotykać się w Sopocie – Helena Kaczkowska nie wie jeszcze, czy o synu będzie miała siłę opowiadać. Przy kolejnych wizytach, podczas kolejnych godzin spędzonych na Monte Casino w towarzystwie taty czy siostry Jana, powtórzy się więc kilkakrotnie ten sam schemat: posiłek, krótka rozmowa w kuchni, później nagrywanie w pokoju z oknem wychodzącym na sopocki deptak. I Helena Kaczkowska krzątająca się za drzwiami, a często na czas naszej rozmowy wychodząca z domu.

W kwietniu 2017 roku nastąpi przełom: udzieli mi kilku wypowiedzi, ale w towarzystwie męża. Coś do jego zdań dodając, uzupełniając, czasami rytualnie – jak to w wielu doświadczonych, ale zasadniczo zgodnych małżeństwach – drocząc się o jakąś datę czy anegdotę. Niezobowiązująco: będzie co i rusz wstawać od stołu, krzątać się po kuchni, jakby chciała powiedzieć: „Opowiadam, ale tylko przy okazji”.

A potem nadchodzi maj 2017 roku. Piękne słoneczne popołudnie – za oknem większy niż zwykle gwar, bo do Sopotu zaczynają zjeżdżać letnicy. Od śmierci Jana minęło czternaście miesięcy. Po raz pierwszy rozmawiam z Heleną Kaczkowską sam na sam. Na początek przeglądamy opasłe teczeki

z dokumentami. Rysunki dzieci: jakieś postaci, uśmiechnięte słoneczko, dom, drzewa – na oko skreślone ręką kilkulatka (autorzy to cała trójka dzieci Kaczkowskich – trudno dziś dociec, którą pracę stworzyło które). Zdjęcia z seminarium podczas wizyty Jana Pawła II. Kwity dokumentujące operacje oczu – z lat 1981–85. Świadectwa z religii – okres podstawówki. Akt urodzenia. Pasporty z różnych okresów życia – te PRL-owskie wraz z otrzymanym całkiem niedawno. Napisana na maszynie licealna praca z języka polskiego... Przez pół godziny przerzucamy tę stertę papierów: wbrew chronologii, chaotycznie, dość pospiesznie, nie zatrzymując się nad żadnym z wątków dłużej niż kilkadziesiąt sekund.

– Dlaczego milczenie? – Helena Kaczkowska powtarza zadane przeze mnie pytanie, i robi krótką pauzę. – Przez okres choroby Jana byłam bardzo zajęta. Ziuk wszędzie z nim jeździł, ja siedziałam w domu. Kiedy wracali, trzeba było Jana rozpakować, zrobić kolacyjkę. Gdy wyjeżdżali, było prasowanie, pakowanie, przygotowywanie. Nie miałam już siły na nic więcej.

– Kiedy Jan udzielał wypowiedzi, zastrzegła pani: ani słowa o mnie...

– Pan już pewnie to zauważył. Ja lubię mówić, ale nie lubię się zwierzać. Całe życie uczyłam młodych ludzi mówić, całe moje życie polegało na mówieniu... Mogłabym oczywiście mówić dużo, ale beznamiętnie nie chciałam, a emocjonalnie nie miałam siły. To wszystko jest jeszcze jakby poza mną. To, co mówię, nawet teraz, wydaje mi się sztuczne. Mogę opowiadać o jego czterech ostatnich latach życia. Z poprzednimi jest gorzej. Wolę być z nim dorosłym, chorym.

– Kiedy ogląda pani zdjęcia z dzieciństwa...

– Nie oglądam zdjęć z dzieciństwa. Rozmawiałam ze znajomą, która straciła ukochanego męża. „Wiesz, ja pamiętam tylko ten rok, kiedy on był chory” – powiedziała. A tych wcześniejszych, szczęśliwych, już nie. Ta znajoma nad tym ubolewała. Ja do ubolewania mam daleko.

Wracamy z Heleną Kaczkowską do przeszłości – ale tej bezpiecznej. Pytam o pierwszy obraz z jej dzieciństwa. Traf jednak chce, że ten obraz też jest związany z odchodzeniem.

Kamieńczyce niedaleko Miechowa, druga połowa lat czterdziestych, dom tuż przy torach prowadzących do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów Krakowa. Kilkuletnia Helenka zapamięta po latach widok ojca. – On w swoim pokoju na łóżku, babcia trzyma mnie za rękę, żebym za blisko nie

podchodziła – wspomina Helena Kaczkowska. – Pamiętam poważną minę babci, która opiekowała się nami, bo mama pracowała w Miechowie: „Powiedz tatusiowi do widzenia”, albo: „Przywitaj się”. Tata chorował na gruźlicę, a myśmy, nieświadome zagrożenia, raz do jego pokoju wpadły. Może babcia zanosila mu posiłek, może jakieś lekarstwa, w każdym razie zostawiła otwarte drzwi. Pamiętam, że tata miał akurat coś w ręce, chyba jakąś gałązkę, i próbował nas odpędzać. A myśmy chichotały, udając, że się boimy. On musiał być tą sytuacją przestraszony, bo wołał babcię Agnieszkę, by nas od niego zabrała.

Inny obraz: ona na podwórku, tata w oknie przygląda się dzieciom... Wreszcie wspomnienie trzecie, rok 1947. „Twój tatuś nie żyje” – mówi do niej któregoś dnia babcia od strony mamy, Agnieszka Krzyżanowska. Helena zapamięta jeszcze obraz stojącej w domu trumny.

Wkrótce potem jej mama, Wincentyna Niedziela, wyjeżdża ze starszą Marysią do Krakowa, a Helena zostaje jeszcze przez jakiś czas z babcią. – Ze szkoły podstawowej, do której chodziłam początkowo w Kamieńcyczach, a potem w Krakowie, pamiętam niewiele – mówi Helena Kaczkowska. – Byłam gapowata, zawsze zapominałam ołówka. Pamiętam to, bo pani kazała podnosić je do góry. Raz zabrałam z dziadka warsztatu taki wielki, czerwony ołówek stolarski, a pani zapytała: „Helenko, dlaczego go zabrałaś?”. Tę gapowatość wszystkie dzieci odziedziczyły chyba po mnie.

Wincentyna Niedziela w 1949 roku dostaje mieszkanie na ulicy Felicjanek w Krakowie – pracuje jako księgowa w Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Helena od trzeciej klasy chodzi już do szkoły tu – obie dziewczynki docierają codziennie na Stary Kleparz, później czekają na mamę w świetlicy na nieodległej ulicy Krzywej. Nowe lokum, na Warszawskiej, kilka minut pieszo od Rynku, dostają w 1956 roku.

Domowe wychowanie córek przez Wincentynę Niedzielę? – Bez bicia, bez krzyku, w aurze swobody. Ale też z atmosferą pewnego moralnego przykazu: że tego czy tamtego „nie wypada” – wspomina mama księdza Jana Kaczkowskiego.

Krótko po przeprowadzce obie córki Wincentyny idą do szkół średnich. Obie trafiają do zawodowych. Helena fascynuje się językiem francuskim. – Szybko się wyemancypowałam – opowiada pani Helena. – Po raz pierwszy wyjechałam do Francji zaraz po maturze, czyli w 1962 roku, zanim jeszcze

rozpoczęłam studia, podczas gdy Marysia została w Krakowie. Na romanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim dostałam się rok później. I w czasie polskich studiów nadal wyjeżdżałam do Francji, dzięki czemu otrzymałam później dwa dyplomy: magistra UJ oraz ukończenia trzyletniego kursu na Université de Paris, czyli popularnej Sorbonie.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Helena Niedziela dość przypadkowo łąduje w Paryżu na imprezie u znajomych. Poznaje tam starszego o pięć lat Józefa Kaczkowskiego. – Był chyba po wyjeździe narciarskim. Siedział taki rozluźniony, pomyślałam nawet w pierwszym odruchu: „bufon” – wspomina z uśmiechem Helena Kaczkowska.

– To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, raczej stopniowe „docieranie się” – wspomina z kolei Józef Kaczkowski.

Oboje młodzi, oboje z rodzin inteligentnych, oboje pod wrażeniem Paryża. Jaki wpływ na ich późniejsze życie będą miały pobyty we Francji? Syn powie wiele lat później, że rodzice przesiąkli nad Sekwaną ideą laickiego państwa i dystansem do religii. – Mnie rzeczywiście imponowała różnorodność, również religijna, Francji – opowiada pani Helena. – Być może te pobyty jakoś mnie zmieniły, bo przecież mama w dzieciństwie, choć nie-nachalnie, jednak prowadziła nas do kościoła.

Końcówka roku 1970. Helena Kaczkowska – będąc już w Polsce – dowiadyuje się, że jest w ciąży. W tym momencie Józef przebywa jeszcze w Paryżu. Chce, by jego przyszła żona rodziła we Francji, po której można się spodziewać lepszej opieki. Helena składa wniosek paszportowy, ale wezwanie dostaje, gdy jest w dziewiątym miesiącu ciąży.

– Urzędnik powiedział do mnie: „Przyjechał do pani ktoś z Warszawy” – wspomina. – Nie byłam typem nieśmiałej dziewczynki, więc się niczego nie bałam. Na spotkanie przyszedł facet w okropnej marynarce bordo i ciemnych okularach. Zaprosił mnie do eleganckiej restauracji w krakowskim Ratuszu, ale po Paryżu trudno mi było w tej mierze zaimponować. Zwłaszcza że w pierwszym odruchu zaproponował mi... koniak! Kiedy powiedziałam, że jestem w dziewiątym miesiącu ciąży, zmienił ofertę na lody, na co z kolei odparłam, że boli mnie gardło. Wyciągnął mój paszport, powiedział, że wszystko wie o mojej rodzinie, i dodał, że chodzą słuchy o wizytach męża w jakichś prawicowych klubach we Francji, więc jak tu przyjedzie, to nie będzie mu łatwo... Czego ode mnie chcieli? Wiedzieli, że mówię

po francusku, oczekiwali więc jakichś informacji. Podczas tego spotkania facet w marynarce bordo roztaczał przede mną perspektywę wygodnego życia w Paryżu, a nawet sprowadzenia po jakimś czasie do Francji mojej mamy. „No wie pan co, takie propozycje pan składa, a ja w ogóle nie potrafię niczego zachować w tajemnicy”, rzuciłam, a on nagle spowaźniał. Na kolejne spotkanie nie poszłam, bo było już dziecko i karmienie.

26 czerwca 1971 roku: na świat przychodzi pierwsze dziecko Józefa Kaczkowskiego i Heleny Niedzieli. Józef przyjeżdża do Krakowa z Francji, kiedy jego pierworodny Filip jest już na świecie.

14 lipca biorą ślub w kościele świętego Floriana w Krakowie. – Ziuk był bardzo uczciwy w tym swoim ateizmie – wspomina babcia księdza Jana, Wincentyna Niedziela. – Helena chciała mieć ślub kościelny, a on powiedział, że nie może przyjąć komunii. Kościół się na to zgodził, więc mogli się pobrać, a Ziuk poprzestał na przysiędze: „że Cię nie opuszczę aż do śmierci”. Bolało mnie trochę, że tak wyraźnie się opowiada, ale przekonała mnie do niego ta uczciwość. Dobrze świadczyła o jego charakterze.

On wkrótce potem wyjeżdża na Wybrzeże, gdzie rozpocznie pracę w Hydrobudowie – będzie uczestniczył we wznoszeniu Portu Północnego, sztandarowego przedsięwzięcia epoki wczesnego Gierka. Żonę i syna ściąga po kilku miesiącach, gdy na rodzinę czeka już załatwione przez wujostwo mieszkanie, wynajmowane w Gdańsku-Oliwie. W 1972 roku Kaczkowscy przeprowadzają się na swoje – do mieszkania spółdzielni nauczycielskiej na Kamiennym Potoku w Sopocie, na ulicę Kraszewskiego.

Helena Kaczkowska na początku lat siedemdziesiątych pracuje dorywczo: daje lekcje w Towarzystwie Polsko-Francuskim, prywatne korepetycje, a w 1973 roku zostaje również tłumaczem przysięgłym. Rok później ma już etat na Uniwersytecie Gdańskim, gdzie prowadzi – głównie na kierunkach ekonomicznych – lektorat z francuskiego. W latach siedemdziesiątych wyjedzie kilkukrotnie do Francji – stypendia dadzą jej kontakt z żywym językiem oraz rozwój metodyczny.

Rok 1975, druga ciąża. Jan, czyli jej trzecie dziecko, niemal czterdziści lat później powie: „Kiedy w naszym puckim szpitalu przychodziłem na ginekologię, to leżącym z zagrożoną ciążą kobietom zazwyczaj opowiadałem o mojej mamie, która z Magdą, moją siostrą, musiała leżeć na patologii ciąży aż sześć miesięcy. I wyleżała ją! Powtarzałem tym często

umęczonym koniecznością leżenia kobietom, że mamy w takich momentach otrzymują niezwykle dużo łaski. (...) Udzielana jest im – mocno w to wierzę – wilczo-lwia odwaga i siła²⁴.

Ale w opowieści Heleny Kaczkowskiej niczego o wilczo-lwiej odwadze nie ma. Jest raczej proza życia: – To rzeczywiście było sześć miesięcy leżenia non stop. Ale byłam bardzo cierpliwa: czytałam książki, poprawiałam jakieś testy z egzaminów, bo zbliżał się koniec roku akademickiego. I rzeczywiście ją wyleżałam.

Kiedy półtora roku później zajdzie w ciążę po raz trzeci, nic nie będzie zapowiadało komplikacji. – Fantastycznie się czułam – wspomina Helena Kaczkowska. – Aż przyszedł szósty miesiąc, kiedy kazano mi się zgłosić do szpitala.

Inkubator

To tylko jedno z listy pytań, których nie będę miał śmiałości zadać Helenie Kaczkowskiej. O analogię między przyjściem na świat a odchodzeniem.

O tym, jak wiele te momenty łączy, mówił Katarzynie Jabłońskiej sam ksiądz Kaczkowski: „Towarzyszenie człowiekowi w umieraniu to jedno z moich najważniejszych zadań w hospicjum i w ogóle w moim kapłaństwie. Śmierć jest momentem, w którym umierający staje się wyjątkowo kruchy i bezbronny. Jest jak noworodek, który przychodzi na świat” – mówił, i dodawał: „Sam nie pamiętam oczywiście swojego przyjścia na świat, ale byłem przy narodzinach dwójki dzieci, wiem, jak się to odbywa, zatem mogę sądzić, że także dla przychodzącego na świat dziecka sam proces narodzin nie jest raczej radosnym doświadczeniem. Wydaje mi się, że to musi być trudne przeżycie – świat, na który przychodzimy, jest obcy i w chwili narodzin dla niemowlęcia – z jego perspektywy – chyba raczej mało przyjazny. (...) Proces narodzin siłami natury boli, przypuszczam, nie tylko rodzącą, ale i jej dziecko. A pierwszy krzyk dziecka, zaraz po narodzinach, wcale nie wydaje mi się krzykiem radości, a raczej przerażenia. Niemowlę atakuje przecież chłód, światło i zupełnie inna rzeczywistość niż ta, w której dziecko dotychczas się rozwijało. Ta nowa rzeczywistość swą intensywnością milionkrotnie przekracza tę z brzucha mamy, co dla takiego bezbronnego

dziecka musi być czymś arcytrudnym. Jednak potem, w miarę dorastania, nie chcemy się już cofnąć i wrócić do brzucha naszej matki. Podobnie jest ze śmiercią – ona sama może być procesem budzącym lęk, wręcz przerażającym. Tu też musimy się precyzyjnie przez ten «kanał rodny śmierci» do – jak my, chrześcijanie, wierzymy – nowego życia⁵.

Przychodzenie-odchodzenie: ta analogia w jego przypadku ma jeszcze jeden wymiar.

– Jan był śmiertelnie chory, ale mijały tygodnie, miesiące, potem lata... Miałaś taką myśl: „Może powtórzy się historia z narodzin”? – to pytanie zadaję między innymi Grzegorzowi Bernasikowi. Rozmawiamy w styczniu 2017 roku w siedzibie Radia Kraków, gdzie Bernasik – dla Magdy, Jana i Filipa bliski kuzyn, niemal brat – pracuje jako dziennikarz. Był świadkiem zarówno trudnych narodzin Jana, jak i jego odchodzenia trzydzieści osiem lat później.

– Myślałem tak, ale to było trochę bujanie w obłokach między snem a dniem – odpowiada Bernasik. – Myślałem, że cudem ocalony podczas narodzin Jan może będzie znowu ocalony. Że będzie miał szczęście, skoro już raz mu dopisało. Przecież wtedy też to mogło się skończyć w każdej chwili, a się nie skończyło.

19 lipca 1977 roku, godzina dziewiąta dwadzieścia pięć. Wersje zdarzeń – jak to bywa w rodzinach, gdzie anegdota to materia zmienna i żywotna – są dwie. Wedle pierwszej, nieco bardziej dramatycznej, ale i – wszystko na to wskazuje – zmitologizowanej po latach przez samego Jana, rodzi się w szpitalu w Gdyni-Redłowie dziecko w zasadzie nielegalne. „Minimalna waga urodzeniowa, w czasie kiedy przyszedłem na świat, wynosiła tysiąc gramów. Urodziłem się, ważąc dziewięćset osiemdziesiąt gramów, a więc jako żywe poronienie” – opowie⁶.

Wedle wersji drugiej, nieco tylko mniej dramatycznej, za to najwyraźniej zgodnej ze stanem faktycznym, urodzony w siódmym miesiącu ciąży chłopiec ma tysiąc dwadzieścia gramów wagi ciała. Pielęgniarki wpisują w akt urodzenia liczbę dziewięćset osiemdziesiąt, by w razie – bardzo wówczas prawdopodobnej – śmierci dziecka zdjąć ze szpitala ewentualną odpowiedzialność.

– Akcja porodowa zaczęła się, gdy leżałam już ze dwa, trzy tygodnie w szpitalu – wspomina Helena Kaczkowska. – Pani doktor chciała mi trochę pomóc, wypychając dziecko za pomocą nacisku na brzuch, a ja ją odruchowo

odepchnęłam. Byłam przekonana, że dziecko jest żywe. Urodził się, nie krzyknął... Po chwili zaczął oddychać, a potem natychmiast przetransportowano go do inkubatora.

Tamten dzień zapamiętała babcia Jana, pracująca – jako szefowa księgowości – w produkującej kosmetyki krakowskiej Chemicznej Spółdzielni Pracy „Florina”. Zbliży się właśnie termin półrocznego sprawozdania, atmosfera w biurze napięta, w dodatku Wincentyna obchodzi dnia imieniny, panuje zatem tłok i gwar. Współpracownicy składają życzenia, wręczają kwiaty. Na biurku głównej księgowej dzwoni telefon.

– Nic mnie nie zaniepokoiło, bo byłam przekonana, że Ziuk, który odezwał się po drugiej stronie, będzie chciał mi złożyć życzenia – wspomina pani Wincentyna. – Tymczasem on mówi, że Helenka w szpitalu, że pielęgniarki były bardzo niespokojne, że dokonały chrztu „z wody”, nadając dziecku imię Adam, i że chłopiec musi pozostać w inkubatorze przynajmniej do osiągnięcia dwóch kilogramów wagi...

„Wcześnieak z porodu pośladowego urodzony w stanie ciężkim. (...) W pierwszych dwóch tygodniach życia duże zaburzenia oddychania i krążenia, obrzęki twardzinowe. Apatyczne. Brak odruchów” – czytam w opisie znajdującym się w zachowanej Książeczce Zdrowia Dziecka Jasia Kaczkowskiego. W tym samym opisie znajduje się informacja, że dziecko po trzeciej i piątej minucie od urodzenia dostało trzy punkty w dziesięciopunktowej skali Apgar, co nawet dzisiaj byłoby informacją alarmującą, oznaczającą ryzyko śmierci lub upośledzenia.

To może dość oczywiste, ale jednak konieczne zastrzeżenie: są późne lata siedemdziesiąte – PRL-owska rzeczywistość służby zdrowia nijak się ma do czasów dzisiejszych, w których ratowanie dzieci nawet kilkusetgramowych jest normą. – Wcześnieak na granicy życia i śmierci – opowiada o tamtych dniach Józef Kaczkowski. – Lekarze nie dawali większych szans, bo dzieci tak szybko urodzone przeżywały wówczas rzeczywiście rzadko. Pytałem pielęgniarkę: „Czy on żyje?”, a ona odpowiadała: „Pójdę i zobaczę”... Wreszcie wraca: „Tak, żyje”. Docierając tam codziennie, miałem różne myśli. A potem widziałem go leżącego w inkubatorze. Szczurek. Chude to – nóżki i rączki jak patyki. No i te nieproporcjonalnie wielkie stopy. „Dziadek” – tak na niego mówiłem prawie od początku, bo był chudy, cherlawy i pomarszczony. „Jak tam dziadek?” – pytali mnie koledzy w pracy.

Atmosfera niepewności udziela się nie tylko rodzicom. Musiała być intensywna, skoro zapamięta ją nawet spędzający wakacje na Wybrzeżu kuzyn nowo narodzonego. – To było jak grom z jasnego nieba – opowiada Grzegorz Bernasik. – Szary, ponury dzień. Pamiętam moją mamę, a ciocię Jana, i jej słowa: „Ziuk mówi zdrowaśki, ciocia w szpitalu, a braciszкови to nie można na razie za bardzo wierzyć”. Tak to zostało podane mnie, dziesięciolatkowi, który w przerwach między kopaniem piłki i graniem w kapsle poświęcił chwilę uwagi temu, że rodzi mu się kuzyn. Z następnych dni pamiętam, jak stoimy pod szpitalem, bo nas nie wpuścili do środka. Moja mama trzyma na ręku Magdę, całuje ją nerwowo, płacze i próbuje – chyba na migi, przez okno – rozmawiać z ciocią Heleną. Trudno nawet powiedzieć, że towarzyszyła temu atmosfera niepewności. Była raczej pewność, że to potrwa dzień, dwa, że nie ma cudów. Dość powiedzieć, że gdy Jan się urodził, to przez wiele lat nikt go nie pobił, jeśli idzie o przeżywającego swoje narodziny tak wczesnego wcześniaka. Jeszcze przez jakiś czas byłem na północy na wakacjach i każdy kolejny dzień zaczynaliśmy od wieści ze szpitala. Trzeba było tam iść albo ewentualnie zadzwonić z telefonu stacjonarnego, żeby połączyć się z jakąś znajomą pielęgniarką, która może coś wie, a może nie wie...

Ani Helena, ani Józef Kaczkowski nie pamiętają, kiedy atmosfera niepewności zamieniła się w spokój. Lekarze odetchnęli najwyraźniej po kilkunastu dniach, gdy można było zaniechać podawania – stosowanego dotąd z przerwami – sztucznego tlenu. Choć w inkubatorze pozostał do szóstego tygodnia życia. „Stan dziecka od trzeciego tygodnia życia wolno, ale systematycznie poprawia się. Zaczęło przybierać na wadze” – napisano w Książeczce, by nieco dalej dodać informację o dwukrotnym przetaczaniu krwi w związku z infekcją w drugim miesiącu życia. A także o tym, że wypisany ze szpitala w szóstym tygodniu chłopiec, choć jest zdrowy, „wymaga specjalnej opieki”.

Józef Kaczkowski: – Gdy wylądował w domu, wyglądał już na „podhodowanego”, przypominał wreszcie dziecko. Zaczęliśmy go cierpliwie karmić, kropla po kropli, bo nie bardzo chciał jeść.

W pierwszym okresie życia syna Kaczkowskich odwiedzają babcie z obojga stron: częściej będąca już wówczas na emeryturze, a mieszkająca w Olsztynie matka Józefa, nieco rzadziej jego teściowa. – Po raz pierwszy pojawiłam się w Sopocie, gdy Jaś był jeszcze malutki – pamięta babcia

Wincentyna. – Patrzyłam na to dzieciątko w beciku jak sprzed wojny: miał pewnie parę miesięcy, coś do niego mówiłam, a on nie otwierał oczu. Nic, tylko spał.

Kaczkowscy wiedzieli już wtedy, że wcześniactwo Jana odbiło się na jego fizycznej kondycji. Zaważy to nie tylko na latach dzieciństwa, ale też w jakimś sensie na całym życiu przyszłego księdza.

Kawałek kości bez mięsa

Warto przyjrzeć się bliżej miejscu i czasowi, na które przypadają pierwsze lata życia Jasia Kaczkowskiego. Jest druga połowa lat siedemdziesiątych, epoka późnego Gierka, której daleko już do względnego entuzjazmu pierwszej połowy dekady z PRL-owską wersją *prosperity*. Państwo Kaczkowscy mieszkają w miejscu z pewnością urokliwym, szczególnym ze względu na napływowy charakter ludności, w którym inteligencja stanowi odsetek znacznie większy niż przeciętny w Polsce. Ale też z powodów historycznych nie mogą się w Trójmieście czuć do końca u siebie. „Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które się tutaj urodziło – powie ksiądz Jan Kaczkowski. – Nasi rodzice co najwyżej tu studiowali, a urodzili się gdzie indziej. (...) Moja mama, która przyjechała do Sopotu z Krakowa, wybierając się tam, jeszcze w czasach mojego dzieciństwa, mówiła, że jedzie do Polski”⁷.

– Ludzi tu znałem niewiele, bo część znajomych ze studiów się rozpierchła, a nowych kontaktów jeszcze za wiele nie miałem – wspomina Józef Kaczkowski. – Zapamiętałem więc końcówkę lat siedemdziesiątych głównie jako intensywny czas rodzicielski. Pracowałem w Hydrobudowie, a dorabiałem, tłumacząc teksty specjalistyczne z francuskiego. Z Heleną się mijaliśmy, bo po południu prowadziła zwykle kursy.

Kaczkowscy materialnie mają się z pewnością lepiej niż przeciętna polska rodzina: ona pracuje na uniwersytecie, podejmuje też dodatkowe prace jako lektorka i tłumaczka. On jest inżynierem. Mają samochód, kupioną przez nią jeszcze w latach sześćdziesiątych we Francji simcę 1000, która „w zestawie” z młodą kobietą za kierownicą musi wówczas stanowić niejaką sensację. Ciepłe weekendy mogą spędzać w domku letniskowym nad jeziorem Wysoka na Kaszubach.

Co nie znaczy, że omijają ich ekonomiczne problemy, z brakiem podstawowych towarów i kolejkami na czele. – Było średnio na jeża, bez żadnych luksusów, choć nigdy nie cierpieliśmy biedy – wspomina Józef Kaczkowski. – Mogliśmy sobie nawet pozwolić na wyjazdy w góry. Z drugiej strony trzeba było na przykład czasami wstać w nocy, by ustawić się w jakiejś kolejce.

O tych kolejkach między innymi rozmawiam w Gdyni z Anną i Krzysztofem Dowgiałłami. Do Kaczkowskich zbliżyli się jeszcze w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, mieszkając blok w blok na Kamiennym Potoku. Początkowo spotykają się głównie panie. Józefa Kaczkowskiego i Krzysztofa Dowgiałłę, później działacza Solidarności, autora wiersza *Ballada o Janku Wiśniowskim*, połączy bliżej dopiero działalność opozycyjna na początku lat osiemdziesiątych. Helena Kaczkowska i Anna Dowgiałło chodzą między blokami, pchając wózki – z Jasiem i najmłodszym synem Dowgiałłów, których dzieli ledwie rok. Rozmawiają, popalają papierosy.

– W kolejkach spędzałyśmy z Helenką dużo czasu, bo dzieci było dużo, no i wszystko to dużo jadło – śmieje się Anna Dowgiałło. – Na Kamiennym Potoku, bodaj przy Wejherowskiej, był sklep mięsny. Tłum, bo akurat nadchodziły jakieś święta, zbliżamy się powoli do lady. No i widać z daleka, że towaru coraz mniej: tego prawie nie ma, tamto wykupione. W końcu przyszła nasza kolej, Helena podchodzi zrezygnowana do ekspedientki i mówi: „Ja poproszę taki ładny kawałek kości bez mięsa”... Przejęzyczyła się, umęczona tym staniem.

By dorobić, Józef Kaczkowski pod koniec 1979 roku wykorzysta doskonałą jak na tamte czasy zawodową okazję: wyjedzie jako inżynier na ponadroczny kontrakt do Senegalu. – To była szansa na pieniądze – wspomina. – Gamonie wymagali opieki, więc żona niewiele pracowała. Gdyby nie ten wyjazd, to byśmy cienko przędli.

Poza pieniędzmi niezbędnymi na utrzymanie rodziny Józef Kaczkowski przysyła z Afryki listy. Można by na ich podstawie skonstruować nie tylko portret ojca, który za każdym niemal razem zwraca się bezpośrednio do każdego z dzieci, nie kryje emocji związanych z rozłąką, pisze niektóre teksty w konwencji reportaży. Jest tu również miniportret smutnej PRL-owskiej rzeczywistości, której odwrotnością jest niemal wszystko, z czym Polak styka się na tak zwanym Zachodzie. „Hotel pierwszorzędny, chciałoby się pomieszkać w nim trochę – donosi na przykład 4 grudnia 1979 roku Józef Kaczkowski,

opisując nocleg pod Paryżem, tuż przed wylotem do Afryki. – Metraż naszego apartamentu (...) chyba taki jak nasze mieszkanie. Salon, łazienka, sypialnia i WC – luksus. Telewizor kolorowy, dwa telefony, jeden w łazience. Sterty ręczników, musujące płyny. (...) Tapczan super, tylko niestety mogłem z niego krótko korzystać, bo musiałem wstać o siódmej, żeby załatwić wizy”.

Rzeczywiście: metraż, w którym żyją w tym czasie Kaczkowscy, wielkiego wrażenia nie robi: nieco ponad czterdzieści metrów kwadratowych, trzy niewielkie pokoje i pięciosobowa rodzina. Niewiele, choć na ówczesne standardy i tak niezłe. Gdy w kwietniu 2017 roku pójdę – w towarzystwie siostry Jana i Agnieszki Jung – na wspomniany już spacer śladami dzieciństwa, uda nam się wejść na moment do znajdującego się na dziesiątym piętrze byłego mieszkania Kaczkowskich. Do środka wpuszcza nas młode małżeństwo z dzieckiem. Jeszcze w proggu przyznają: całkiem niedawno dowiedzieli się, że kiedyś mieszkał tutaj „ten ksiądz Kaczkowski”.

Idziemy wąskim, kilkumetrowym korytarzem, spoglądamy na pokój, który Magda zajmowała z Jasiem, wreszcie dochodzimy do niewielkiego salonu połączonego z jeszcze mniejszą kuchnią. – Mama całe życie powtarzała, że śpi z głową w lodówce, bo ich łóżko ustawione w salonie dochodziło niemal do kuchni – mówi, trochę się uśmiechając, a trochę kryjąc wzruszenie Magda. – Tłumaczyła po nocach, pisząc na maszynie, co tacie generalnie nie przeszkadzało, poza sytuacjami, gdy na koniec każdego wersu trzeba było przejść do następnego, a maszyna wydawała charakterystyczny, jednostajny turkot.

– Tędy wleciał kiedyś do środka ptaszek i niestety wpadł do patelni – Magda pokazuje na kuchenne okno.

Przechodzimy do kolejnych pomieszczeń: – Łazieneczka, teraz piękna. Wtedy wanna, stara pralka, kibelek i umywalka.

– No i hol, w którym dużo się działo. Rodzice mieli na kanapach cztery wielkie poduchy, na których albo jeździliśmy po podłodze, albo budowaliśmy z nich ściany – dodaje Magda, gdy już wychodzimy.

Motywy zbyt małego metrażu zapamiętała też Anna Dowgiałło: – Helena strasznie biedna, narzekała. Dzieci były ruchliwe, potem wszystkie dość dużej postury. A kuchenka rzeczywiście malutka. Kiedyś przychodzi do mnie zrezygnowana i mówi: „Nie mam już siły, chyba ich wszystkich w imadło włożę”.

– Śmialiśmy się z mamy, bo chciała prawie ze wszystkimi w Sopocie zamieniać się na mieszkania – wspomina Filip Kaczkowski. – To były czasy, kiedy ludzie dawali ogłoszenia typu: „Sprzedam mieszkanie z widokiem na mięsny”. Mówiliśmy mamie, żeby napisała: „Sprzedam lokum z widokiem na boiska”.

Okno

Młoda Helena Kaczkowska widzi z okien nie tylko boiska. Również piękną panoramę Gdańska, a nawet skrawek Bałtyku. Dla niej te obrazy to ukojenie – dzięki nim zapomina o ciasnocie.

Widzi bawiące się dzieci. Bywa, że woła je przez okno na posiłek.

Widzi cmentarz, który z biegiem lat się rozrasta.

– Lubiliśmy patrzeć na świeczki w okolicach 1 listopada – wspomina Magda Sekuła. – Z czasem stopniowo wygaszały, a ja sobie wyobrażałam, że te nieliczne ogniki to są oczy wilka. Widok cmentarza nikomu wtedy nie przeszkadzał. Zaczął być dwuznaczny, gdy chowaliśmy Jana.

Tuż po jego śmierci bliscy otworzą kopertę z życzeniem księdza co do miejsca pochówku. Okazuje się, że wskazał trzy opcje: Puck, a także dwa punkty na sopockim cmentarzu, który przez lata widział z okien. Jedno w ramach rodzinnego grobowca, drugie kilkaset metrów dalej, przy znajdującej się w granicach nekropolii kaplicy.

– Usiedliśmy w kółku i każdy powiedział, jakie ma zdanie – opowiada Magda. – Mama powiedziała: „Wiesz, Madziu, jak będę wspominać to okno, z którego na was patrzyłam, to na ten widok nałoży mi się teraz cmentarz”... Poparła ją większość rodziny, pojechaliśmy do Pucka. Ale się okazało, że pochówek przy tamtejszej farze jest niemożliwy. Jan spoczął więc tutaj.

Okulary w klozecie

Maj 2017, drugie spotkanie z Heleną Kaczkowską. Na stole małże, sosy, wino. Na obiad befsztyki, na koniec jeszcze deser: własnej roboty ciasteczka czekoladowe. Im bliżej tego stołu, obiadu i w ogóle tematów dnia dzisiejszego,

toczącego się tu i teraz życia, tym łatwiej o rozmowę swobodną, czasem nawet radosną.

– Jakby to panu powiedzieć, mnie ta przeszłość w jakimś sensie nie interesuje. Nastawiam się na przyszłość, na swoje wnuki. Cóż z tego, że będę wspominać tamte piękne chwile... Oczywiście, że myślę o tym nieustannie. Może poza nielicznymi wyjątkami. Na przykład gdy idę odebrać wnuka ze szkoły i szukam go wśród dwudziestu innych dzieci. Z ludźmi nie wspominał Jana. Ani Magda, ani Filip nie powiedzieli nigdy w mojej obecności: „A pamiętasz, jak kiedyś Jan...”.

Pytam Helenę Kaczkowską o wnuki. A właściwie o historię związaną z najmłodszym z nich, jedenastoletnim synem córki, Jasiem, którą opowiedziała Katarzynie Jabłońskiej. Zwierzyła się, że podczas pogrzebu i tuż po nim nie była w pełni przytomna, co w pewnym sensie uśmierzało jej ból. „Wydawało mi się wtedy, że nie będę mogła chodzić na grób Jana. Teraz, po dziesięciu miesiącach od jego śmierci, jest mi trudniej. (...) Wtedy towarzyszyło mi takie niemal metafizyczne doświadczenie – czułam, że Jan, taki leciusieńki, siedzi mi na ramionach... Odchodziłam od grobu i miałam wrażenie, że on idzie ze mną, a ta mogiła, trumna, cmentarz – nie mają specjalnego znaczenia”⁸.

Po kilku miesiącach Helena Kaczkowska wiezie samochodem wnuka. Przejeżdżają obok cmentarza, na którym pochowany jest Jan. – Postanowiłam, że będę dzielna i się nie zatrzymam – wspomina. – Bo to nikomu nie pomoże, oni muszą żyć. Jedziemy, a wnuczek pyta: „Babciu, cały czas go tak czujesz na ramionach?”.

– Czy rozpadłam się na kawałki? – Helena Kaczkowska powtarza zadane przeze mnie wcześniej pytanie, odnoszące się do cytatu z wypowiedzi Jana. – To rzecz jasna metafora, bo nie da się umrzeć. Choć wołałabym przed Janem. Ale śmierć dziecka wszystko zmienia. Postrzeżenie świata, charakter...

Czego dowiaduję się od Heleny Kaczkowskiej o pierwszych miesiącach życia Jana? Opowiada, że niemal od początku widać było u niego zeza; że zanim skończył rok, miał już okulary, których zresztą nie znosił; że rósł i rozwijał się normalnie, nie licząc wzroku oraz jeszcze jednej widocznej wady: miał jedną nóżkę nieco krótszą od drugiej, co po jakimś czasie udało się wyrównać z pomocą rehabilitacji.

– Odkąd zaczął chodzić, trochę powłóczył jedną nogą – wspomina Helena Kaczkowska. – Szedł normalnie tylko wtedy, gdy mu przypominałam: „Pięta, palce, pięta, palce”. W ogóle miałam wtedy dużo obaw. Pamiętam jedną historię, która pokazuje, jak bacznie go obserwowałam. Wcześniej, to znaczy przed ukończeniem roku, zadawałam mu standardowe pytania, w rodzaju: „Jak robi kotek?” albo: „Jak robi krowa?”. I zawsze odpowiadał poprawnie. A pewnego razu na pytanie o kotka odpowiedział „Muuu”, a na to o krowę: „Miauuu”. „Matko Boska! – myślę – coś mu się pokręciło”. Odchodzę na bok i nagle widzę ten jego szelmowski uśmiech. On po prostu miał tych moich pytań dość.

Na zdjęciach z późnych lat siedemdziesiątych widać chłopca korpulentnego, zawsze w okularach z grubymi szklami. Zwykle z poważną miną. Wspomnienia z wczesnego dzieciństwa Jasia, o jakie prosił rodzinę i przyjaciół rodziny, trudno precyzyjnie umiejscowić w czasie. Dotyczą jednak z pewnością pierwszych dwóch lat życia.

Anna Dowgiałło: – Miał dużego zeza, zapamiętałam problemy z jego okularami. Raz przychodzi Helena i mówi: „Chyba mnie szlag trafi! Ty wiesz, co on zrobił?”. Okazało się, że wziął te okulary, poszedł do łazienki, wrzucił do klozetu i spuścił wodę... A to był późny Gierek, nie najlepsza sytuacja, nie było łatwo iść do sklepu i kupić nowe.

Brat: – Od początku było wiadomo, że będzie wymagał opieki. Gdy się urodził, miał taką krwawą bańkę na plecach, do końca zostało mu znamię. To już był dla mnie znak. Zawsze był w jakimś sensie inny.

Siostra: – Był inny. Na przykład wszystkie dzieci bały się mrówek, a on potrafił się w nich wytarzać i czekać, aż go pogryzą. Śmialiśmy się, kłócili. Od wczesnych lat lubiłam z nim spędzać czas, co nie zawsze działa w relacji starsza dziewczynka – młodszy chłopiec.

Babcia: – Śmieszny, grubiotki, lubił jeść, a przecież miał mało ruchu, bo nie bardzo mógł biegać. No i ta jego otwartość: rozmawiał z ludźmi na ulicy.

Tata: – Pytania, zadawał mnóstwo pytań. A co to? A dlaczego? Wszystkie dzieci tak mają, ale mam wrażenie, że Jan był jeszcze bardziej dociekliwy, ciekaw świata.

„Dasz radę”

– „Siła miłości”, niech pan to rozważy! To najlepszy tytuł dla pana biografii! – podobnych rad i wskazówek usłyszę wiele. Ta jednak, autorstwa dyrektora sopockiego prywatnego gimnazjum i liceum ogólnokształcącego, zostanie wypowiedziana ze szczególną determinacją. Andrzej Szczepański, w edukacji od dziesięcioleci, jowialny i w mig skracający dystans, spotkał się ze mną, by opowiedzieć o licealnych latach Jana. Uwagę o „sile miłości” wypowiada spontanicznie, w przerwie między kolejnymi opowieściami o czasach liceum.

– Bo widzi pan, o tacie Jana, panu Józefie, powiedziano już bardzo wiele. A ona była i jest w cieniu. Na pewno tata był w jakimś sensie budowniczym, jeśli chodzi o rozwój Jana, ale to mama była architektem. To, że on w siebie uwierzył, było, moim zdaniem, głównie jej zasługą.

Na fotografiach widać piękną, szczupłą kobietę o kruczoczarnych włosach. I teraz, i w młodości – wspominają przyjaciele – zawsze dobrze ubrana. Anna Dowgiałło pamięta nagły transport Heleny Kaczkowskiej do szpitala w związku z ciężowymi komplikacjami przed urodzeniem Magdy. – Miała jeszcze na sobie makijaż. „Boże, jak ona ślicznie wygląda”, pomyślałam – wspomina Anna Dowgiałło.

Inni przyjaciele Kaczkowskich z tamtych lat, Piotr i Wanda Nowinowie-Konopkowie (oboje byli pracownikami naukowymi na Uniwersytecie Gdańskim; on w czasach PRL-u opozycjonista, w III RP między innymi poseł i ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej), zwracają z kolei uwagę na kontrasty między Heleną i Józefem, które czyniły z nich paradoksalnie zgraną parę.

– Z jednej strony rubaszny nieco Ziuk, dusza towarzystwa sypiąca dowcipami, z drugiej skromna, pozostająca nieco w cieniu Helena – mówi Piotr Nowina-Konopka. – Ten kontrast musiał być zbawienny dla dzieci: miały do czynienia z dwoma typami osobowości, które świetnie się uzupełniały. Na przykład ktoś w tym domu musiał bardziej dbać o porządek i dyscyplinę, i tym kimś z pewnością była Helena.

Na podstawie wspomnień, ale też współczesnych obserwacji próbuję dociec: jakie cechy Heleny Kaczkowskiej mogły wpłynąć na formację syna?

Na początek oddajmy głos jemu samemu:

„– Księżda mama woli pozostawać w cieniu? – pytał Piotr Żyłka.

– A jednocześnie ma bardzo silną osobowość – odpowiadał ksiądz Kaczkowski. – Wiele od nas wymagała, wysoko zawieszła poprzeczkę i bardzo o nas walczyła, a już w szczególności o mnie⁹.

W innym miejscu rozmowy, wspomniawszy o domu pełnym wolności i akceptacji, użyje znowu przymiotnika: wymagająca. „Kiedy byłem mały – doda – niektórzy z otoczenia namawiali mamę, żeby oddała mnie do szkół i ośrodków dla dzieci niedowidzących. Nie zrobiła tego”. W artykule opublikowanym przez „Wysokie Obcasy Ekstra” powie między innymi: „Mama ćwiczyła ze mną regularnie. Refren: «pięta – palce», towarzyszył mi przez wiele lat. (...) To dzięki jej uporowi mogę żyć normalnie – widzieć i przyzwocie chodzić¹⁰.”

– Rzeczywiście, to Helena była bardziej od wymagań – potwierdza Anna Dowgiałło. – Także w sensie pewnej etykiety: jak siedzieć, jak się zachować przy stole. Kiedy ta etykieta została jakoś wyraźnie przekroczona i beczułka się przelała, potrafiła wpaść w szał, podczas gdy Ziuk zachowywał stoicki spokój.

Inni przyjaciele Kaczkowskich, Jolanta i Rafał Bukowscy, opowiadają o luzie i atmosferze akceptacji. – Ale rzeczywiście Helena, poza silnym instynktem opiekuńczym, wprowadzała do tej rodziny pierwiastek rygoru – dopowiada Jolanta Bukowska. – Ziuk to był luz blues, od rozrywki, sportu. A u Heleny musiał być porządek w zachowaniu, jedzeniu, ubieraniu. Nazwałabym to takim parysko-krakowskim sznytem.

„Siła miłości” – co właściwie użyta przez Andrzeja Szczepańskiego fraza oznaczała w początkowej fazie życia Jasia Kaczkowskiego? O ile ze względu na swój wygląd, wadę wzroku, inne niż rówieśników zachowanie dostanie on w dalszych latach życia mocny sygnał: „jesteś inny”, „jesteś odrębny”, „nie należysz do grupy”, od matki otrzyma komunikat odwrotny: „dasz radę”. Świadoma niedomagań syna, będzie jednak protestować za każdym razem, gdy ktoś użyje w odniesieniu do niego przymiotnika „niepełnosprawny”.

Ksiądz Kaczkowski w rozmowie z Piotrem Żyłką opowie o pewności siebie, jaką dali jemu i jego rodzeństwu rodzice. Zapamięta też dwa znaczące zdania, wypowiedane przez mamę: „Jan, tam, gdzie nie musisz, nie pokazuj swojej bezradności”, oraz: „Bądź lepszy od innych, żebyś nadgonił swoje braki”.

Do tego samego motywu odwołuje się bliski kolega z dzieciństwa Jana, Piotr Jokieli, nawiązując co prawda do nieco późniejszego, bo wczesnoszkolnego okresu ich życia. – Mam wrażenie, że dawał sobie radę właśnie dzięki

matce, która nauczyła go oceniać siebie w dobry sposób, dawała mu po prostu poczucie własnej wartości – mówi Jokiel. – Pani Helena jawiła mi się jako silna, walcząca o Jana, stojąca za nim i motywująca go matka. Były zresztą ku temu powody: w dzieciństwie często miewał stany załamania, że „nie ma sensu”, że „nie dam rady”...

W poczuciu wartości, jakie – z pewnością wspólnie z mężem – Helena Kaczkowska budowała w synu, jest też element, o którym nie powiedzą ani oni sami, ani nawet ich bliscy, bo też widać go lepiej z pewnego dystansu. To rodzaj dystynkcji, jakiej musiał być od dzieciństwa świadom, dystynkcji, która wynika z przynależności do sopockiej rodziny inteligenckiej. Z jej atrybutami: pracą na uniwersytecie, językiem francuskim, towarzystwem, w jakim się obracali i do dziś obracają, ale też z dbałością o dom, jego estetykę czy kulinarne upodobania. To poczucie odrębności – może czasem przechodzące w elitaryzm – będzie widoczne w dalszych latach jego życia.

– Nazwałabym to poczuciem godności – mówi Katarzyna Jabłońska z „Więzi”, która pisząc dwie książki z udziałem Jana, zdążyła się też zbliżyć do jego rodziców. – Dbałość o sposób wypowiedzania się, obeznanie z kulturą czy właśnie przywiązanie do etykiety i estetyki wyniósł z pewnością z domu, i akurat to – tak mi się wydaje – zawdzięczał przede wszystkim pani Helenie, pewnie też babci Wincentynie. Mieszkanie państwa Kaczkowskich pełne jest obrazów, książek i zapachów dobiegających z dużej kuchni, gdzie pani Helena przyrządza wyśmienite dania. Zupa cebulowa, polędwiczki, indyk, tarta z warzywami, różne sałaty z cudownym sosem winegret – to uczta dla podniebienia. I uczta dla oczu, bo wszystko podane jest na pięknej porcelanie, której towarzyszą srebrne stare sztuczki i zawsze lniane lub płócienne serwetki. To w domu państwa Kaczkowskich standard.

Do drugiego, bardziej opiekuńczego oblicza Heleny Kaczkowskiej odnoszą się Anna Dowgiałło i Filip Kaczkowski.

– Helenka „kwoczyła”. Bardzo się nim opiekowała i nieustannie martwiła, jak sobie da radę. Raz opowiadała, że pokazała mu lecący czerwony balon. „Wszyscy go dostrzegli, tylko nie Jaś”, martwiła się Helena – wspomina przyjaciółka Kaczkowskich.

– Tata nie był, wbrew pozorom, wylewny – mówi z kolei brat Jana. – Mama nas obejmowała i mówiła: „Tata was nie przytula, ale was kocha”. Skądinąd mówiła to niepotrzebnie, bo dla nas to było zawsze oczywiste.

Jak Filip Kaczkowski zapamiętał rodziców z czasów swojego dzieciństwa i młodości? – Bywało, że między nimi iskrzyło, że się kłócili – wspomina. – Zawsze uważałem, i do dziś uważam, że mieliśmy najwspanialsze dzieciństwo na świecie, choć wiem też, że ten okres się zawsze idealizuje. Jedno jest jednak pewne. Sam mam dzieci, o które staram się dbać, ale widzę, że czasami potrafimy z żoną zrobić coś tylko dla siebie, na przykład gdzieś wyjechać bez nich. A życie naszych rodziców kręciło się wokół nas. Można powiedzieć, że poświęcili życie dzieciom.

Oddech

Reszta to pytania.

Czy poświęcili się Janowi w sposób szczególny?

Jaka więź tworzy się między matką a dzieckiem wymagającym przez całe dzieciństwo specjalnej opieki?

Czy zdanie o „rozpadnięciu się na kawałki” – dla niego pewnie będące nie tylko świadectwem miłości, ale również w jakimś sensie obciążające – to również opis tej szczególnej relacji?

Helena i Jan Kaczkowscy: trzydzieści osiem lat i osiem miesięcy wspólnego życia. Od pierwszego do ostatniego oddechu. Dosłownie:

– Byłam przekonana, że dziecko jest żywe. Urodził się, nie krzyknął... Po chwili zaczął oddychać...

„Oddech spowalniał. Jan cały czas był bardzo spokojny. W pewnym momencie Magda poprosiła: «Mamo, połóż mu rękę na czole». Zawsze tak robiłam, kiedy byli dziećmi, chorowali i mieli gorączkę. Położyłam więc Janowi rękę na czole, a on zamknął oczy i przestał oddychać”¹¹.





BLISKO OŁTARZA

czyli o wierze niewymuszonej



*Przychodzą momenty, kiedy myślę: „To niemożliwe,
że go nie ma”. Ale przecież ja się ze wszystkim godzę.*

WINCENTYNA NIEDZIELA

To akurat może zabrzmieć jak fragment jednego z żywotów świętych, w których hagiografowie szukają znaków. Może też zabrzmieć niewiarygodnie, bo przecież czteroletni chłopcy, jeśli w ogóle coś recytują, to raczej wierszyki, piosenki, ewentualnie składy drużyn piłkarskich. A jednak nie chce być inaczej: czteroletni Jaś Kaczkowski cytował księdza profesora Józefa Tischnera.

Tak zapamiętała tę scenę jego babcia, Wincentyna Niedziela: – Szliśmy schodami, na dole była poczta. Gdy z Madzią i Jasiem wchodziliśmy do środka, zaczynało się chmurzyć. A gdy wychodziliśmy, była już potężna wichura. Mnie się naprawdę wydawało, że wiatr mi porwie te dzieci, więc je do siebie z całej siły przytuliłam. Wtedy Jaś spokojnym, kaznodziejskim tonem powiedział: „Czyżby ta ziemia była przekłeta?”. To samo pytanie padło wcześniej w kościele świętej Brygidy z ust księdza Tischnera.

Podobnych anegdot mogłaby powstać pokaźna lista. Weźmy wizytę krewnej babci Wincentyny, której Jaś zdjął szalik z szyi, powiesił go na swojej, po czym powiedział: „Teraz cię będę spowiadał”.

Albo rozmowę z będącą w widocznej już ciąży kobietą, której spojrzął w oczy i powiedział: „Brzemieniu jesteś i w bólach rodzić będziesz” (ta miała – ledwo tłumiąc śmiech – odpowiedzieć, że wie, bo to jej drugie dziecko).

Wreszcie korowody „mszalne” na wsi, gdzie dzieci Kaczkowskich spędzały wakacje: rodzeństwo i kuzynostwo nakłonione przez Jasia odgrywa rolę wiernych, on idzie na przedzie, robiąc za księdza.

Ale nie tylko z powodu anegdot zapukałem do drzwi pani Wincentyny. Chciałem poznać kobietę, z której ksiądz Jan uczynił niemal legendę, przypisując jej rolę źródła własnej duchowej drogi.

Mówił o niej dużo.

Piotrowi Żyłce, z właściwą sobie przesadą, że jest jedyną w rodzinie katoliczką z prawdziwego zdarzenia. Nie taką, dodawał, spod znaku Radia Maryja, ale raczej „Tygodnika Powszechnego”. Opowiadał, że zawdzięcza jej nie tylko fascynację religią, ale też umiejętność afirmacji świata¹.